

Od tego zdarzenia minęło sporo czasu. W maju któregoś roku odbywało się spotkanie rocznika chemików, którzy kończyli studia dwadzieścia lat temu – zostałem na nie zaproszony. Dawni studenci wyglądali jakby troszkę inaczej, ale przecież ich poznawałem. Ledwie słuchałem wykładu, bo ciągle było parę słów do mnie – urywki wspomnień egzaminacyjnych, podziękowania.

Wychodzimy gromadą na korytarz gmachu głównego i idziemy grupami – stale rozmawiając – do Klubu. Za sobą słyszę głośne i szybkie kroki i wołanie: „panie profesorze, panie profesorze”. Przystajemy – tak, oni idą do mnie i wykrzykują jeden przez drugiego „– Myśmy chcieli podziękować...”. Podziękować? Za co?

– No, chcieliśmy podziękować za te papierosy, które nam pan przyniósł... wtedy... na salę... Wzruszyłem się i uściskałem wszystkich, którzy mnie dogonili i powiedziałem: – To ja Wam dziękuję za to, że pamiętaliście tyle lat!

Ale w marcu 1968 jeszcze tak wesoło nie było. Po nim nastąpił kwiecień, a wtedy już zaczynały działać „komisje dyscyplinarne”, które zsyłały – tak, tak! – zsyłały naszych chłopców (czy dziewczęta też – tego nie wiem) do pracy w kopalniach Srebrnej Góry, gdzie panowały straszne warunki. Powołano także i mnie do takiej komisji przy Wydziale Chemicznym. Nie protestowałem ponieważ pomyślałem sobie, że mogę spróbować sam obrony studentów. Postawiłem się ostro już na pierwszym, czy drugim zebraniu komisji, krzychałem coś o nieludzkiej karze za – w gruncie rzeczy – drobne przewinienia, coś o przyszłości Narodu – ktoś mnie poparł – i co powiecie?

Poskutkowało. Jak słyszałem, nasza komisja miała najmniejszą liczbę „skazań”.

8. Święta roku 1953

Któregoś roku Krzysztof Pigoń zaproponował mi wyprawę kajakiem na jeziora mazurskie. Łódkę miał w Krakowie, w domu rodzinnym (mieszkali przy ulicy Karmelickiej), także namiot i śpiwory – było to wyposażenie na wyprawę, na które uprzednio wyjeżdżał z bratem. Brat

Krzysztofa, starszy nieco od niego, pracował jako asystent w jednej z katedr przyrodniczych UJ. Należał do grona niepokornych, co nie ułatwiało mu życia. Pewnego lata wyjechał do Szwecji na stypendium; tam go docenili i – bez stawiania warunków – zaproponowali stanowisko równoważne adiunktowi. Mając dość fanaberii partyjnych w Kraju – przyjął je i tam już pozostał.

Zaopatrzeni w „suchy prowiant” i mając jeszcze w uszach okrzyk jego Mamy (wspaniała, starsza Pani): „Rany boskie, przecież wy się potopicie!” załadowaliśmy wszystko w olbrzymi plecak z nadbudówką i – taskając go na zmianę – wyruszyliśmy w drogę. Najpierw koleją do małej miejsciny, a później rzeczką, którą czasem mogliśmy żeglować siedząc w kajaku, ale częściej trzeba było go holować na płycznach, idąc brzegiem – rzeczką, która w końcu wpadała do Kanału Augustowskiego. Wyprawa była niezwykle krajobrazowa; życie upływało nam na rozpinaniu namiotu, gotowaniu jedzenia, zbieraniu jagód i wiosłowaniu. Żadnej chałupy, żadnego śladu ludzkiej stopy w promieniu wielu kilometrów. Płynęliśmy Kanałem w kierunku jezior. Mieliliśmy z sobą bardzo dobre i szczegółowe mapy oraz kompas; rozszyfrowanie naszego aktualnego położenia nie było trudne. Dużym urozmaiceniem była przeprawa przez śluzy, których wysokości były rozmaite. Największa, jaką widziałem, trzymała dziesięciometrową różnicę poziomów wody. Nie było czekania na śluzie: czy to zwyczajowo, czy też według przepisów, śluzowy przeprowiał nawet jeden mały kajak. Ale zdarzały się też przeprawy w towarzystwie, na przykład, całkiem sporego statku wycieczkowego. Podziwialiśmy wtedy delikatność, z jaką szyprowie manewrowali statkiem w naszym sąsiedztwie. Mniej byliśmy zachwyceni, kiedy rozlegał się potężny bas syreny dokładnie nad naszymi uszami.

Mieliliśmy z sobą maszynkę spirytusową – któregoś dnia zabrakło do niej paliwa. Nie zastąpisz go wodą ani niczym innym – trzeba było wybrać się po ten spirytus. W drogę ruszył Krzysztof, ja zaś zostałem na warcie. Długo go nie było; jak się później okazało, powodów było kilka: po pierwsze niełatwo było znaleźć jakiś sklepik, choć było to niedaleko Augustowa. A gdy już wszedł do takiego sklepu, za żadne skarby świata nie chcieli mu sprzedać aż trzech butelek denaturatu. Nie szło przy tym o cenę, ani o to, że nie był wyplacalny; sprzedawczyni utrzymywała z uporem, że się potrujemy! – zupełnie nie dając wiary tłumaczeniom, że używamy go do palenia. Krzysztof domyślił się, że

oni piją ten spirytus i pewnie kupują go w szklankach. Po dość długich perswazjach, krakowskim targiem, kupił dwie butelki – o trzech nie mogło być mowy.

Na jeziorach – jak to w lecie – przeżyliśmy deszcz, ulewę – raz nawet dołapała nas na wodzie burza z piorunami i silnym wiatrem. Rzeczywiście, było wtedy krucho z nami – ale jednak przepłynęliśmy „na drugi brzeg”.

We wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy już na dobre zainstalowałem się we Wrocławiu, przyszło do mnie dwóch pracowników Politechniki, werbujących ludzi do partii: „wiodący” towarzysz z towarzyszem „asystentem”. Nie zawezwali, lecz przyszli. Wiedziałem już o takich wizytach – ktoś mnie uprzedził – i wciąż rozmyślałem, jakich argumentów mam użyć na „nie” gdyby – co nie daj Boże – i do mnie trafili. Krzysztof dyskretnie ulotnił się z pokoju, a oni – rozsiadłszy się wygodnie – zaczęli mówić „o... Marynie”.

Słuchałem grzecznie myśląc o tym, co im odpowiem; wtrącałem w odpowiednich momentach „tak” lub „nie”; uważając jedynie, by nie pomylić odpowiedzi. I w pewnym momencie olśniło mnie. Kiedy skończyli, podziękowałem za zaufanie i fatygę, po czym zapytałem: – czy słyszeliście, panowie, jak ludzie śpiewają w kościele w towarzystwie organów, szczególnie w okresie Świąt? I ja miałbym się wyrzec tego, że mogę tam stanąć wśród nich i przyłączyć się moim głosem?! (to nic, że od niepamiętnych czasów nie śpiewałem w ogóle – nie musieli o tym wiedzieć).

Zbaranieli. Zaczęli jeszcze coś brzdąkać, ale wkrótce się pożegnali – może nieco chłodniej. Później już ta sprawa nigdy więcej nie powróciła.

Szukałem pokoju na mieszkanie – mniej krępującego, niż ten przy placu Engelsa. Była to (i jest nadal!) okropna dzielnica, tak zwane „Zatybrze”. I rzeczywiście: kiedy wracałem późnym wieczorem, miały mnie watahy rozrabiających pijaków, dziewczyny namawiające na rozrywki, a w końcu – już w łóżku – słuchałem przed zaśnięciem zbiorowych śpiewów przechodzących w ryki z pobliskiej kawiarni „Obywatelska”. Miałem już tego dość i – mimo że za pokój, największy w tym mieszkaniu, nie płaciłem ani centa – szukałem bliższego Politechnice i bardziej spokojnego pomieszczenia. I znalazłem. W holu Politechniki wisiała w swoim czasie tablica ogłoszeń, także o wolnych pokojach. Wynająłem u państwa Lamentów (także „Molendami” zwanych, przez ich małego synka) pokój na IV piętrze, prawie dokładnie

naprzeciw potężnego komina kotłowni Politechniki. Punkt ten był szczególnie użyteczny w okresie zimy: przez okno mogłem sprawdzić rano, czy palacz zdążył już uruchomić ogrzewanie.

Zima '53/54 – to miał być przełom w moim dotychczasowym kawalerskim żywocie, ale jeszcze o tym nie wiedziałem. Zdzisiek (Brat) już od jakiegoś czasu był żonaty, co mojemu Ojcu napędzało stresów. Nie robił mi wymówek – jedynie od czasu do czasu napominał: – Mógłbyś się już, Władku, ożenić... Jeździłem z Krzysztofem do Krakowa na Święta; z tą jazdą różnie bywało. Linia kolejowa Wrocław – Kraków, a właściwie Szczecin – Przemyśl – bo tym pociągiem jeździło się najczęściej, wybierając dla zaoszczędzenia dnia pociąg nocny, była zwykle niewiarygodnie przepełniona. Jeśli kupiłeś jedną ale nie było Cię na peronie kiedy przychodził ze Szczecina, to nie mogłeś liczyć na miejsce siedzące. Bywało, że co najmniej połowę nocy przespaliśmy, siedząc na naszych bagażach u wejścia do przedziału. Kilkanaście razy w ciągu nocy trzeba było się podnieść, żeby przepuścić nie tylko wysiadających. A noc w tych warunkach dłużyła się ogromnie – zwłaszcza że pociąg, opóźniony o parę naście minut często wypadł z rozkładu i dalej poruszał się jako „Bummelzug”. W Krakowie funkcjonowaliśmy z Krzysztofem od samego rana na pełnych obrotach – szkoda było czasu na odsypianie.

Moja nowa Bratowa, z domu Koźbiał i jej mąż nie oszczędzili wysiłków, żeby mnie „wydać za żonę”. Była jakaś Marylka – starsza nieco ode mnie. Jakoś nie pasowaliśmy do siebie od samego początku – co prawda, nikt z nas szczególnie się o to nie starał. Umówiliśmy się raz – i ktoś nie przyszedł. Umówiliśmy się drugi – i powiedzieliśmy sobie na końcu spotkania, że chyba nie jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Ale Róża...

Róża była trzebinianką i pracowała w Krakowie w Miastoprojেকcie. I ta dziewczyna całymi latami, dzień – w – dzień wstawiała o czwartej rano (tak, c z w a r t e j!), żeby zdążyć na siódmą do pracy. A wracała już późnym zmierzchem, zimą właściwie w nocy. Jedyńm towarzyszem jej powrotów był wspaniały wilczur, Bari, który o dobrze znanej mu porze warował u furtki ogrodowej i na dźwięk jej głosu i charakterystycznego gwizdka (Róża wspaniale gwizdała, o czym mało kto wie) pędził jak żbik przez te co najmniej dwa kilometry by co prędzej przypaść do nóg swojej pani. Z Marysią znały się dobrze ze wspólnego miejsca pracy, ze wspólnych wycieczek współpracowników, które

organizowała Róża i z wzajemnych odwiedzin. I Zdziśkowie zaprosili Różę do Krakowa na najbliższe Święta Bożego Narodzenia, zaprosili także nas, Rohlederów, to jest mego Ojca, Zosię i mnie. Przyszliśmy na ulicę Kolberga, gdzie mieszkali, o umówionej porze, Róża nieco się spóźniła. Coś chyba musiało być ukartowane między organizatorami spotkania, bo mieli mi za złe, że przypiąłem się do „Przekroju” a Różę przywitałem trochę zdawkowo. Usiłowałem to później nadrobić i trochę może mi się powiodło – wieczór wigilijny minął bardzo sympatycznie. Jeśli dobrze pamiętam, Róża wróciła nocnym pociągiem do Trzebini, ale umówiliśmy się (z inicjatywy Brata) na spotkanie sylwestrowe w którejś z krakowskich kawiarni. Było bardzo udane: ktoś z kimś jakby tańczył (?) – a na pewno czarną kawę wzmocniliśmy kropelkami, przyniesionymi ukradkiem.

W styczniu widzieliśmy się z Różą krótko u nas, w krakowskim domu. Później, w lutym jeszcze raz zawitała na Lubomirskiego (byłem wtedy we Wrocławiu). Ta wizyta była znacząca: Róża od razu oczarowała mego Ojca. Została na obiedzie, na który Zosia podawała gołąbki (ona się na tym znała!). Róży tak smakowały, że poprosiła o repetę. Kiedy już zaspokoila głód, mój Ojciec westchnął i powiedział:

– Mój Boże, gdyby tak mój syn chciał się z panią ożenić...

Kochany Tato! Nie mogłeś dobitniej wyrazić swej aprobaty – a może nawet pragnienia – dla tego małżeństwa. Róża jednak trochę się spieszyła. Nie dostrzegła tego, że Ojciec – intuicją wiedziony – obdarzył ją największym komplementem, na jaki go było stać – może nie najrzęczniejszym wyrażonym, ale od serca... Nie wiem, czy coś odpowiedziała – w każdym razie słowa Ojca zapadły jej głęboko w pamięć, gdyż powtórzyła mi je – chociaż dopiero – po latach. Wczesną wiosną zaprosiłem Różę do Wrocławia, w odwiedziny. Przyjechała i została na drugi dzień dzięki uprzejmości gospodyni, która ją przenocowała. Oglądaliśmy kawałek Wrocławia, który jej się podobał, choć jeszcze wszędzie pełno było ruin i niedawnych zgliszcz. Zostałem zaproszony na Wielkanoc do domu w Trzebini; mieli być również Ojciec z Zosią i Zdziśkowie.

W trakcie rozmyślań przedświątecznych nowa znajoma coraz bardziej mi się podobała. Ruchliwa, jak „żywe srebro” (po latach mawiałem jej, że ma usposobienie konika polnego, podczas gdy ja – kontemplującej krowy), bezpośrednia i niczego się nie obawiająca. W swoich listach do mnie Ojciec nie raz o niej napomykał. Przed wyjazdem na Święta mój zamiar już był skryształizowany; nie wiedziałem

tylko, jak ona to przyjmie i – myśląc trochę w przód – miałem obawy, czy potrafię sprostać nowym obowiązkom. Ale okazało się, że Róża przyjęła z odwzajemnieniem odczuć moje zamiary i zaręczyliśmy się. Mój Ojciec był zachwycony – jej Ojciec, niestety, już nie żył. Zaraz też gruchnęliśmy do nóg jej Mamy, prosząc o zgodę i rodzicielskie błogosławieństwo. Zdaje się, że w tym samym okresie odwiedziliśmy też Księdza w parafii Róży. Ksiądz przyjął nas nadzwyczaj serdecznie i obiecał daleko idącą pomoc: zapowiedzi miały być odczytane wszystkie trzy w jedną niedzielę (co się też stało), ślub wyznaczaliśmy na niedzielę, 6 czerwca; akurat w tę niedzielę w roku 1954 wypadały Zielone Święta.

Wybrałem się w przeddzień do Trzebini pociągiem pospiesznym, idącym trochę przed północą do Krakowa i – mimo, że mi się bardzo spać chciało – z niecierpliwością wypatrywałem Trzebini. Róża już była na dworcu, uśmiechnięta, ze swoim nieodłącznym rowerem, który prowadziła ciągnąc za kierownicę przez całą drogę do domu. Wyglądała uroczo we wschodzącym słońcu. Pierwszą istotą z Nowego Świata, która nas powitała, był Bari („syn Szarej Wilczycy”). W domu – uścisków moc, wesołe okrzyki – sama radość. Moja nowa Rodzina od samego początku przyjęła mnie do swego grona i odnosiła się do mnie z dużą serdecznością i bezpośredniością, która mi zawsze odpowiadała. W pewnym momencie Zuzia (siostra Róży) popatrzyła na mnie uważnie i ostrożnie spytała, czy ja przywożem w bagażu coś z ubrania. A mój „bagaż” – o ile pamiętam był teczką, zawierającą szczoteczkę do zębów i przybory do golenia; no, może by się tam jeszcze znalazła jakaś nocna koszula. I w tym momencie ogarnął mnie wstyd i pewna melancholia zarazem. Teraz wiedziałem, co ma na myśli. Wybrałem się z Wrocławia w marynarce, w której bywałem w pracy; krawata nie miałem, bo były to dni gorące; koszula też nie była „od Searsa”. Wstyd mi było bardzo, że nie pomyślałem o tym, iż dzień to będzie wyjątkowy i uroczysty. A przecież w Wrocławiu, gdyby mi to tylko przyszło do głowy, mogłem mieć więcej, niż jedno ubranie w szafie. Melancholia była odczuciem, że we Wrocławiu byłem właściwie „sierotą” i nie było nikogo, kto mógłby i chciał zwrócić mi uwagę na ten aspekt sprawy.

I tu Gustki (szczególnie Zuzia) zachowali się nadzwyczaj taktownie: nie było już dalszych pytań, jedynie minimalizujące sprawę stwierdzenie „to nic, mężczyzn w domu tyle... pożyczymy sobie czyjeś ubranie”

(wydaje mi się, że pożyczylimy Jankowe). Znalazł się także krawat i kwiatki dla Narzeczonej. „I tak to się zaczęło” – poszedłem do ślubu w pożyczonym ubraniu. Jeśli dobrze pamiętam, piątego czerwca 1954 zawarliśmy ślub cywilny, a nazajutrz – to już data pewna – odbył się ślub kościelny. Były to czasy supremacji państwa nad Kościołem: ksiądz nie mógł udzielić ślubu bez zaświadczenia z USC.

Kościół był w tym dniu szczególnie uroczyście przystrojony: ze sklepienia zwisały długie girlandy zieleni, kwiatów, których pełno było w całym kościele; dużo też było światła i smug kadzidlanego dymu. Dostaliśmy klęcznik, tuż przed balustradką i musieliśmy oboje klęczeć na nim przez ogromnie długą Summę. W czasie słuchania nabożeństwa zdarzył mi się niecodzienny przerywnik: z pobliskiego sznura zwisających kwiatów sfrunął na mnie jakiś owad, dostał się za kołnierz i zaczął niemiłosiernie łaskotać na plecach. Jakiś czas próbowałem to przetrzymać, naprężając ubranie, ale wreszcie sięgnąłem ręką do tyłu i przycisnąłem. Coś chrupnęło i... miałem już spokój. A my przysięgaliśmy sobie miłość i wierność „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. I tak się, niestety stało... Boże, mój Boże...

Z kościoła wracaliśmy wraz z całym orszakiem piechotą (sic!) do domu, oddalonego o dobre dwa kilometry. Po drodze mieliśmy wstąpić do fotografa, ale coś przeszkodziło – faktem jest, że ślubnego zdjęcia nie mamy.

W domu czekały już stoły zastawione smakołykami do uczy weselnej. W wiaderku zimnej wody ze studni chłodziła się wódka. Miałem trudne zadania do wypełnienia jako pan młody: trzeba było dbać o zaopatrzenie talerzy i kieliszków gości, a przede wszystkim mojej Żony; starać się nie pomylić imion Braci Róży, których miała trzech: Wiktora, Mariana i Janka – czwartym mężczyzną Rodziny Róży był mąż jej siostry, Gustaw – z mej strony na ślubie i weselu byli Ojciec z Zosią i Bratostwo; wreszcie – mimo licznych toastów kierowanych w naszą stronę starać się pozostać w miarę trzeźwym, ponieważ wieczorem czekało mnie odwiezienie gości (dorożką) do pociągu. Mimo choroby żołądka mój szwagier przyłączał się za każdym razem do toastów i kieliszek wychylał do dna: dowiedziałem się jednak rychło, że miał w nim herbatę kolorem znakomicie dobranym do koloru wódki. Nalewałem sobie tego samego i trochę dzięki temu goście odjechali właściwym pociągiem we właściwym kierunku...

Ale i dla mnie godzina powrotu do Wrocławia zbliżała się nieubłaganie. Miałem pojechać sam, ponieważ Róża zajęta była formalnościami przeniesienia swego stanu zatrudnienia do oddziału Miastoprojektu w Wrocławiu. Rozstaliśmy się, nękani jednakowymi myślami: oto pobraliśmy się, a musimy trwać w samotności. O tym samym, widocznie, rozmyślał i mój szwagier kiedy, towarzysząc Róży w powrocie ze stacji kolejowej powiedział: – No widzisz – miałaś męża i gdzież on się podział? Zabolalo to Różę.

9. Życie z Różą

Kiedy zobaczyliśmy się następnym razem – było to już we Wrocławiu. Nazwę tego Miasta wpisano Róży do dowodu osobistego jako „miejsce stałego pobytu”. Działo się to w miesiącach letnich, sierpień – wrzesień 1954.

Mieszkałem wtedy przy ul. Smoluchowskiego, u Lamentów, na czwartym piętrze, zajmując średniej wielkości pokój. Parę dni wcześniej pokój ten administracja „ozdobiła” dwiema parami grubych belek, rozpierających podłogę od sufitu, który ponoć groził zawaleniem. W ten prosty sposób remont dachu zastępowało się rusztowaniem. W efekcie mieliśmy trzy pomieszczenia do sprzątania, a jedno małe do życia. Mieszkał tam początkowo we dwoje później także we czworo. Wiosną następnego roku Róża miała bardzo ciężki żywot, wychodząc z dodatkowym obciążeniem na czwarte piętro. Starałem się jej przynajmniej w jednym obciążeniu pomagać, niosąc zakupy; nadto szedłem często za nią, wypychając ją lekko w górę przy wchodzeniu na schody.

Żywot ten rozświetlał nam popołudniową porą 4 – 5 letni synek gospodarzy – bardzo miły chłopczyk. Spytany o imię, odpowiadał: „Dzejka Molenda” i to „Molenda” już się przyjęło w naszych rozmowach z Różą. Nigdy nie słyszałem, by swe imię (Andrzej) wypowiadał inaczej, niż w dopełniaczu. Wyraźnie nas oboje z Różą lubił; często siedział u nas mówiąc: „Dzejka batkę pije”, co równie dobrze oznaczało samą czynność jak i ochotę na nią. Nie pozwolił wtedy nikomu zabrać się z naszego pokoju. Zdarzyło się raz, że przyszedł